

665

BOŻENA WINNICKA

CUDOWNE DZIECI

Buwają przedstawienia, które nie zasługują na to, aby je traktować poważnie. Wydają się raczej wybrykiem, swawolnym i nieodpowiedzialnym, niż efektem świadomej, wziętej zbiorowej pracy. Głównie umysłowej. W Krakowie można sobie obejrzeć dwa takie teatralne dziwolaństwa. Jeden wystawiany jest na widok publiczny w Teatrze Ludowym pod dobrze znanym tytułem „Fantazy”. Ulepiony został przez Mikołaja Grabowskiego, który zresztą po raz trzeci mociuje się z tym dramatem. Całkiem niepotrzebnie, bo skutek raczej onłakanu.

Dramat Juliusza Słowackiego ma, jak wiadomo, trzy tytuły: „Fantazy”, „Nowa Dejanira” i „Niepoprawni”. Zaden z nich zresztą nie pochodzi od autora. Przedstawienie niewątpliwie wzbogaca nasz teatr, a także literaturę o interpretację nieoczekiwaną i powinno być grane pod tytułem „Rzeczniczki wśród Kałmuków”. Nie hrabia Dąbrowski jest tu postacią główną, ani on, „niepoprawni”, czyli Fantazy z Idalią, nie romansowe perypetie są ważne, ani poświęcenie Majora. Na plan pierwszy wysuwa się bowiem poczciwy Rzeczniczka, a raczej plama na jego dość wątpliwym honorze. Ważni są też Kałmucy. Biegają po scenie pokurzeni niczym małymi i kradną kamienie z ogrodu Respektów. Rzeczniczki wprowadzają pluje po salonie cukierkami, ale jest nawet sympatyczny. Kałmucy całkiem ucieśnieni, za to reszta aktorów kompletnie zagubiona. Dużą dozę humoru wprowadza Major. Seplenii niemilosierdzie, tym razem po rosyjsku.

Napisano o „Fantazym” tomu. Nazwano arcudziełem literatury, nie tylko naszej, ale i europejskiej. Analizowano subtelna przewrotność romantycznej ironii, a wiersz uznano za oświecający. A jednak Grabowskiemu udało się udowodnić, że Słowacki „wielkim poeta nie był”. Czyżby z dramatu nie zrozumiał nawet tytułu? Zadenego z trzech? Przecież to niemożliwe, zwłaszcza że dostał już pierwsze ostrzeżenie. Przygotował „Fantazego” w warszawskim Teatrze Polskim, ale przedstawienie zagrano tylko parę razy. Było podobno niedobre. Kazimierz Dejmek jest niepoprawnym profesjonalistą, chociaż — być może — nie ma tytułu magistra. Mikołaj Grabowski jest docentem sztuki reżyserskiej, ma więc pełne prawo zaufać własnym pomysłom. Zwłaszcza że ma do tego podstawy.

W Teatrze STU obejrzeć można drugą osobliwość — „Kto się boi Virginii Woolf” Albee’go, przedstawienie rodzinne klanu Grabowskich. Czworu do- brych aktorów, sztuka zreczna, napi-

sana fachowo i efektownie. Cóż z tego, kiedy zagrana została równie szybko i hulaśliwie, co płasko i niewybrednie. Dostosowano troskliwie te amerykańską sztukę do powszechnych gustów, pospolitej wrażliwości i naszego, swojskiego kolorutu. Bardzo lokalnego. Dlatego zapewne zamiast w środowisku profesorów, bądź co bądź, uniwersytetu rzecz rozegrano w domowej spelunie wśród posepnych denaturszczyków. „Ludzie to kupia... bule na chłama, byle głupio”, śpiewał Wojciech Młynarski. No i kupili. Na XXIII przeglądzie teatrów małych form, ogólnopolskim, a także, przedstawienie odniosło bezapelacyjny sukces i zostało obdane rzesistymi nagrodami.

Nagrody rozdajemy szczerobliwie. Pieniądze to niewielkie. Z szumnie brzmiącą Grand Prix w kieszeni nie można się ustawić w kolejce po kolorowy telewizor. Starczyłoby zaledwie na kawalek. Liczy się splendor. Nagród Mikołaj Grabowski ma całą furę. Większość słusznie mu się należała. Odkrutu został szubko, karierę robił błyskawicznie.

Za to, co się dzieje na scenie, odpowiedzialność ponosi przede wszystkim reżyser. Za to, co się dzieje naokoło reżysera, odpowiedzialność spada na teatr, a także w dużej mierze na krytykę. Reżyserzy są nadzieją i awangarda naszego teatru, zwłaszcza młodzi, to oczywiste. Tym bardziej niepokoić może mechanizm kreowania wielkości za wszelką cenę. Podsadza się więc młodych artystów na pomniki, gdzie zastąpić powinni w aleję zastużonych. Maszynka obraca się sprawnie i bezwzględnie. Może koniunktura jest właśnie taka, może należą udowodnić, że teatr mamu wspaniału, może potrzeba przekonania, że „mu nie gorsi”, przesłania oczu różowa mgiełka.

Tymczasem rzeczwiistość jest, tak jest. Skrzypi i trzeszczy. Coraz trudniej ułożyć repertuar festiwalu, nawet ogólnopolskich i nie tematycznych. Dowodem choćby ostatnie Warszawskie Spotkania Teatralne. Uczciwie rzecz traktując na udział w tej ważnej imprezie zasługiwało jedno, na siłę dwa przedstawienia: „Wiosna narodów” przygotowana przez Tadeusza Bradeckiego i „Scenariusz dla trzech aktorów” wyreżyserowany przez Mikołaja Grabowskiego. I to też nie jako wielkie wydarzenia. Pan Sieradzki tłumaczył się w „Polituce”, że wszystkie przedstawienia WST miały wspólną zaletę — poszukiwania artystyczne. Poszukiwania form i treści, które byłyby odkrywcze propozycja, są niewątpliwie godne i zauważenia, i pochwały. Ale poszukiwania mogą być

twórcze i kiczowate, madre i prymitywne, oryginalne i wubakle od nowielantów. Zdarza się, że eksperymentem nazywa się szperanie w staruch szufladach. Cudnych. Ale to już kwestia wiedzy o przeszłości. Na czym polegał artyzm tych poszukiwań, pozostało jednak tajemnicą.

O pogardzie dla profesjonalizmu już nawet nie wspomnę, bo rece onadają. Powraca co jakiś czas, zwykle wtedy, gdy trzeba usprawiedliwić bezmyślność i beztroski dyktantyzm. Teatr płaci za te igraszki okrutną cenę, jak widać na naszych scenach. Co to jest rutyna, niechże pan Sieradzki sprawdzi w słowniku wyrazów obcych. Co amator-szczyna też.

Nietatwo zorganizować festiwal, co-raz większy kłopot z rozdzielaniem nagród. A przecież przynajmniej je stale, sama biore w tym udział i nawet się tego nie wstydzi. Symptomatyczne jest tu casus Tadeusza Bradeckiego, laureata rekordzisty nie tylko ubiegłego roku, ale w dziejach całego teatru, od Ajschylosa poczynając. I tak rośnie nam teatralny Olimp, usypiający pracowicie przez zgodny chórku paru recenzentów. Dla kogo i na czyje zamówienie? Ze szczytu Olimpu, nawet sztucznie, nie da się uspiąć wyżej. Można dostać zawrotu głowy, można się omsknąć. Paru już się obsunęło i popadło w zapomnienie. Na szczęście dla Bradeckiego Olimp umościł mu chwalecy. On sam, jak się wydaje, chodzi po przyjaznej ziemi.

Zezwał mnie kiedyś srodze pan Sieradzki za to, że postuguje się w felietonach chwytem „relacja prostaczka”. I że tak nie wolno. A trawatwa bezkarnie arcudzieła, robić uproszczone i prostackie przedstawienia wolno? A ugniatać potoczne opinie, zamiast środków dopinających podawać znieczulające, to wolno?

Zawód recenzenta teatralnego porównał kiedyś Jerzy Koenig do bramkarza w zakładzie produkcyjnym. Coraz częściej przypomina on raczej zajęcie agenta reklamowego. A komu się nie podoba, jest be. malkontent, albo rutyniarz paskudny. No cóż, widocznie moda taka, że trzeba śpiewać razem, zgodnym chórem. I tylko unisono. Boże broń na głosy. Ale na to nie namówi mnie nawet sympatyczny skądinąd pan Sieradzki.

Wszystkim, którzy łaskawie zechcą zrozumieć opacznie moje intencje, wyjaśniam, co następuje. Wprost. Szanuję i lubię teatr, cenie artystów, podziwiam młodych reżyserów. Za to, że wybrali właśnie teatr, że z uporem uprawiają sztukę, z której nie da się żyć, w warunkach, w jakich coraz trudniej ją tworzyć. Jestem przeciwko traktowaniu ich jak cudownych dzieci, zasługujących tylko na „pięszcutki, łakotki, swawole”, bo „co grobia wszustko caca”. I wołam jak niejaki Gałkiewicz do profesora Pimki: „Ale ja nie mogę zrozumieć! Nie mogę zrozumieć, jak zachwyca, jeśli nie zachwyca!”

BOŻENA WINNICKA